



Kryminał z myszką

48

Trzecia rakietą

Kazimierz
Korkozowicz

Kazimierz Korkozowicz

TRZECIA RAKIETA

Kryminał z myszką – Tom 48

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67562-32-4

Copyright © Tomasz Korkozowicz

Tekst: MON, Warszawa 1958, seria „Labirynt”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mimo połowy września upał doskwierał mocno. Było nawet parno. Z północnego wschodu nadciągała zasłaniając pół nieba ogromna chmura. Była granatowa, groźna, z rdzawymi plamami prześwietleń. Przed nią pędziły obłoki z szarymi grzbietami, szybkie, postrzępione, nabrzmiące deszczem.

Z drugiej strony niebo było jeszcze błękitne i świeciło słońce. Zamek stał na wzgórzu i widać było wyraźnie, jak jaśniał odbłaskami szyb na granatowym tle widnokrzęgu, zaciągniętego z tej strony chmurami. Grupy drzew obok jego masywu słońce znaczyło ostrymi, żółtozielonymi konturami. Wszystkie szczegóły tego obrazu grały kontrastem światła i cieni w skośnych promieniach słonecznych przedwieczornej pory.

Droga biegła stokiem wzgórza, obramowana żywopłotem. Konik ciągnący odrapaną dorożkę z leniwego truchtu przeszedł w równie leniwy krok. Pan Anzelm Szarotka coraz to z niepokojem spoglądał na niebo. Pierwsze podmuchy wiatru porywały z drogi smugi kurzu.

Ze stacji do zamku, gdzie znajdował się pensjonat Funduszu Wczasów, było około trzech kilometrów. Większość tej drogi pan Anzelm miał już za sobą.

Tak się miało stać, że przyjazd na wczasy pana Szarotki, starszego księgowego ze Zjednoczenia Budowlanego nr 3 z Kalisza, stanowił wstęp do finału pewnej historii, której początek sięgał czasów zawieruchy wojennej. O tym nie wiedział oczywiście nikt, a tym bardziej pan Anzelm.

Gdyby sam pan Szarotka nie był w chwili obecnej tak bardzo zaabsorbowany zagadnieniem: zmoknie czy nie zmoknie – może by, przy swoim zamięłowaniu do przesądów, wysnuł pewne wnioski z widoku burzowej chmury ciągnącej mu naprzeciw w chwili przyjazdu. W tym wypadku rzeczywistość skłonna byłaby potwierdzić wiarę pana Szarotki w przesady.

Tymczasem woźnica żywił te same obawy co i jego pasażer. Pokrzykując na konia i szarpiąc lejcami, zmusił go wreszcie do opanowanego truchtu. Bryczka, podskakując na nie naprawianej dawno drodze, potoczyła się szybciej.

Pan Szarotka, siedząc przy swojej niezbyt nowej i – powiedzmy szczerze – dość odrapanej walizce, przytrzymywał ręką kapelusz, który stał się obiektem coraz gwałtowniejszych ataków wiatru.

Wreszcie pojazd zadudnił po drewnianym moście przerzuconym przez szeroki rów z ciemną wodą. Rów ten był zapewne kiedyś fosą. Obrastały go teraz trzcina i krzaki łożyny. Za mostem gotyckim łukiem sklepiała się brama, jedyna pozostałość po biegnącym tu kiedyś murze obronnym. Za bramą rozciągało się wysypane żwirem podwórze, a dalej wznosił się ciężki i przysadzisty kamienny budynek zamku, jednopiętrowy, o dwóch długich szeregach okien i dużym kamiennym ganku. Ganku tego strzegły po bokach dwie wykruszone przez czas, granitowe postacie fantastycznych gryfów.

Bryczka się zatrzymała. Pan Anzelm szparko wyskoczył na ziemię, za nim potoczyła się walizka. Ponieważ akurat upadła mu na nogę, pan Szarotka schylił się szybko, nie bez grymasu bólu. Z kolei jednak upuścił trzymaną w ręku teczkę.

Wreszcie udało mu się opanować sytuację i rozpiąwszy prochowiec wyjął wysłużony portfel, by rozliczyć się z woźnicą. Potem zapiął płaszcz, o jeden guzik za wysoko, ujął w jedną rękę walizkę, w drugą teczkę i wstąpił na stopnie ganku, uważając, by uczynić to lewą nogą. (Było to doprawdy żałosne usiłowanie odwrócenia biegu wypadków, które niosła ze sobą bliska przyszłość.)

Obijając sobie nogi walizką, pan Szarotka przecisnął się przez drzwi i dostał się do ogromnego hallu. Prowadziło zeń kilkoro drzwi. Z lewej strony wily się ku górze szerokimi skrętami ciemne, dębowe schody o rzeźbionej poręczu. Drzwi na wprost były otwarte i widać było przez nie parę foteli i dywan z kładącą się na nim smugą słońca.

W tej chwili wbiegła do hallu młoda dziewczyna w chusteczce na głowie, a za nią statecznym krokiem podeszła do pana Anzelma starsza pani o siwych, gładko przyczesanych włosach i jasnych oczach w pełnej, rumianej twarzy.

– Dzień dobry panu – przywitała przybyłego – pan...

– Szarotka jestem, szanowna pani – pośpieszył przedstawić się pan Anzelm. – Mam skierowanie... To jest chciałem powiedzieć, że cieszę się...

– Bardzo mi miło – przerwała mu starsza pani. – Wiem, że miał pan przyjechać. Formalności załatwimy później. – Marysiu – zwróciła się do dziewczyny – weź walizkę i zaprowadź pana do jego pokoju. Jestem kierowniczką tego pensjonatu i nazywam się Kolarska – wyciągnęła do gościa rękę.

Pan Szarotka ujął podaną mu dłoń i złożył na niej szarmancki pocałunek. Kiedy wyprostował się, usta rozchylił mu szeroki uśmiech.

– Teraz zechce pan zapewne ogarnąć się po podróży, a potem prosimy do stołu – wskazała ręką jedne z drzwi. – Wszyscy właśnie siedzimy przy podwieczorku, każe nakryć dla pana...

– Stokrotne dzięki – pan Anzelm zgiał się w ukłonie – postaram się jak najprędzej być na dole... Stokrotne dzięki – ukłon się powtórzył.

Grzeczności te przerwało krótkie pytanie dziewczyny, która idąc już po schodach z walizką, obróciła się spoglądając w dół.

– A który pokój, proszę pani kierowniczk?

– Przecież ci mówiłam – trzynasty.

Pan Anzelm stawiał właśnie pierwsze kroki ku schodom, kiedy padła złowroga cyfra.

Znieruchomiał i obrócił twarz ku swojej rozmówczyni. Nie było już na niej uśmiechu. Usta zacięły się raptownie w wąską linię, wszystkie bruzdy wokoło nich nabrzmiały i zaostrzyły się, a pomarszczone, ciężkie powieki uniosły się ku krzaczastym brwiom. Nieruchome źrenice małych, jasnych oczek wyrażały teraz najwyższą dezaprobatę.

– Który, proszę szanownej pani?... – rzucił lodowato. – Nie dosłyszałem...

– Trzynasty numer pokoju, dlaczego pan pyta?

– Jak to?! – w głosie starszego pana drgało hamowane oburzenie. – Przeznaczacie dla swoich gości pokoje z takimi numerami?!

– Nie rozumiem pana – zdziwiona pani Kolarska wzruszyła ramionami. – O co panu chodzi?

Pan Anzelm już się jednak opanował. Bezradnie skłonił głowę i westchnął:

– E, nic...

Z ciężkim sercem począł wstępować na schody, poprzedzany przez dziewczynę niosącą walizkę.

Tak wszedł na scenę dramatu pan Anzelm Szarotka.

Pokój jego znajdował się w prawym skrzydle domu, zaraz za załamaniem korytarza. Należy obecnie powiedzieć parę słów o rozplanowaniu domu, gdyż będzie to miało znaczenie dla biegu dalszych wypadków.

Parter dzielił się właściwie na dwie części. Większą, lewą, zajmowała duża sala, jadalnia, o czterech łukowato sklepionych oknach. Z jadalni prowadziło troje drzwi: na korytarz (który łączył ją z pokojami służbowymi, gospodarczymi i kuchnią), do hallu i wreszcie trzecie, podwójne, o ciemnych, ciężkich skrzydłach, do salonu – świetlicy. Za świetlicą leżał pokój bilardowy, a za nim biblioteka.

Trójskrzydłowe, oszklone drzwi wychodziły z salonu na duży ogrodowy taras, okolony balustradą. Przed tarasem ciągnął się trawnik, a za nim stary, gęsto zadrzewiony park.

Boczny korytarz łączący jadalnię z częścią gospodarczą domu kończył się zapasowym wyjściem, tak zwanym – kuchennym. Obok tego wyjścia znajdowały się wąskie drzwi, za

którymi kręcone schody prowadziły do obszernych piwnic, rozciągających się pod całym domem.

Budynek nie był właściwie zamkiem, aczkolwiek – zapewne ze względu na swój wiek i rozmiary – tak był nazywany przez okoliczną ludność. Obszerny, o grubych, częściowo kamiennych murach, pamiętał chyba czasy wojny trzydziestoletniej. Następnie musiał ulegać rozbudowie lub przebudowie, gdyż stracił posiadaną ongiś narożnikową wieżę, z której pozostała tylko część parterowa, jak również mury obronne.

W czasie powojennym, objęty przez Fundusz Wczasów Pracowniczych, został częściowo odremontowany i przystosowany do nowego zadania. Mimo jednak że stał się domem wczasowym, nadal nazywano go „zamkiem”.

Jedynie piętro domu zajmowały sypialnie przeznaczone dla wczasowiczów i służby administracyjnej. Personel składał się z sześciu osób. Kierowniczkę, ogrodnika, administratora, dwóch pokojówek i kucharki. Sypialnie położone były wzdłuż korytarza załamującego się w kształcie litery U. Przy podstawie tej litery znajdował się wylot schodów prowadzący do hallu.

Pokój, w którym znalazł się pan Anzelm, był duży, o bardzo wysokim suficie. Dwa wąskie półkoliście sklepione okna oddzielał kamienny słup, drzwi, bardzo wysokie, były bogato rzeźbione. W lewej ścianie znajdował się ogromny kominek, zbudowany z ciosanych głazów. Kominek ten musiał pamiętać dawne, bardzo dawne czasy.

Aspekt architektoniczny wnętrza nosił surowy charakter średniowiecza. Tym bardziej zaskakujący był kontrast, jaki stanowiły z nim nowoczesne, jasne meble, skromne siatkowe firanki u okien, kolorowy dywan i wazon z kwiatami stojący na stoliku przy jednym z okien.

Po dziesięciu minutach pan Anzelm umyty i odświeżony, ze starannie przyczesanymi nielicznymi, piaskowego koloru włosami schodził na dół. Początkowe przykre wrażenie spowodowane feralną trzynastką znacznie zelżało, może przed perspektywą oczekującego nań posiłku, gdyż pan Anzelm był w tej chwili bardzo głodny.

Tymczasem chmury ogarnęły całe niebo i zrobiło się zupełnie mroczno. Gwałtowne podmuchy wiatru raz po raz uderzały w szyby, dzwoniąc o nie tumanami piasku.

Toteż gdy pan Szarotka wszedł do salonu, by odszukać panią Kolarską, paliło się tam światło. Towarzystwo skończyło już podwieczorek i pan Szarotka znalazł się raptem w kręgu obcych twarzy. Stał, z zakłopotaniem obciążając przykrótkie rękawy. Pani Kolarska spostrzegła go jednak i natychmiast podeszła.

– Przedstawię pana wszystkim współmieszkańcom tego domu – zaproponowała uśmiechając się jednocześnie, gdyż spostrzegła zakłopotanie pana Szarotki.

– Pani Agnieszka Wieczorek – brygadzystka z fabryki odzieżowej pod Piotrkowem – rozpoczęła prezentację pani Kolarska.

Pani Wieczorek była kobietą lat około czterdziestu, o energicznych rysach twarzy, czarnych, bystrych oczach i czarnych włosach, zaczesanych do tyłu i upiętych w węzeł.

W fotelu obok niej siedziała młoda dziewczyna w czerwonej sukience, o ładnej twarzyczce z dużymi siwymi oczami.

– To nasz największy urwis, panna Jolanta Solecka. Pracuje w Instytucie Tworzyw Sztucznych. Uzupełnia ona jednocześnie naszą dwuosobową listę uczestniczek turnusu. Za ród męski jest reprezentowany liczniej – dodała z uśmiechem.

– A więc: pan Jerzy Proca – mechanik z pobliskiego POM.

Pan Anzelm poczuł mocny uścisk dłoni wysokiego, barczystego szatyna i spotkał się z uważnym, spokojnym spojrzeniem niebieskich oczu.

– Pan Czesław Wieleń z Wrocławia – spec od budownictwa, który przebudowywał i naszą chałupę.

Młody człowiek, niski i szczupły, o opalonej twarzy, zaczesanych do tyłu włosach i ciemnych, żywych oczach wyciągnął z uśmiechem rękę do pana Anzelma.

– A oto pan Bolesza – naczelnik jakiegoś tam wydziału bankowego z Krakowa. Siwy, tęgi, starszy pan ukłonił się panu Szarotce.

– Pan Jan Sosin – pracownik Wojewódzkiej Rady Narodowej we Wrocławiu.

Pan Sosin był wysoki, szczupły i zgrabny. Miał lat około trzydziestu pięciu, jednak sportowy strój składający się z szortów i wiatrówki odmładzał go znacznie. Był blondynem o pociągłej twarzy, wąskich wargach i szarych oczach.

– Pan Jerzy Kuszar – inżynier architekt, również z Wrocławia – przedstawiała kolejno pani Kolarska.

Pan Anzelm uściśnął z kolei dłoń bardzo przystojnego młodego człowieka, ubranego w sportową marynarkę, spod której widać było kolorową koszulę w kratę.

– No i na koniec pan Piotr Brona – pani Kolarska zwróciła się do barczystego mężczyzny średniego wzrostu, który stał na uboczu z rękami założonymi na plecach. – Pan Brona jest opiekunem naszego sadu i inspektów, gdyż mamy tu małe ogrodnicze gospodarstwo na własny użytek.

Brona miał gładko wygoloną twarz o suchych rysach i mocnych szczękach. Gładko zaczesane do tyłu włosy przyprószyła mu na skroniach siwizna. Pan Anzelm spotkał się wzrokiem ze spojrzeniem spokojnym, jakby trochę sennym. Uścisk suchej dłoni był mocny, ale krótki.

Kiedy prezentacja została zakończona, gospodyni ujęła przyjacielskim gestem ramię pana Anzelma mówiąc:

– Z powodu burzy wszyscy siedzą w domu, miał więc pan możliwość poznać całe towarzystwo od razu. Teraz zabieram pana na spóźniony podwieczorek.

Pan Anzelm wchodząc do stołowego zastał tam siedzących przy stole dwóch mężczyzn zajętych rozmową. Jeden w wieku lat ponad sześćdziesiąt, szczupłutki starszy pan o siwej, obfitej jeszcze czuprynie i pomarszczonej, czerwonej twarzy. Drugi lat około czterdziestu, ubrany w biały pulower, miał szpakowate, falujące włosy, twarz o wyrazistych rysach i duże piwne oczy.

– Pan Stanek, gospodarz naszego pensjonatu, a oto pan Hempel, dziennikarz z Warszawy – przedstawiła pani Kolarska.

Szpakowaty pan uniósł się z krzesła i bez słowa uściśnął rękę pana Szarotki.

* * *

Kiedy pan Anzelm wracał po podwieczorku do salonu, burza rozpętała się już na dobre. Deszcz siekł w szyby, zlewał je strugami wody i dzwonił w blaszane parapety okien. Na dworze zrobiło się ciemno. Ciemność tę rozświecilały często fioletowe błyskawice. Wówczas czern za oknami przemieniała się w dżdżysty pejzaż, widać było ociekające wodą drzewa i smugi ukośnie padającego deszczu. Potem, już w ciemności, przewalał się gwałtowny łoskot grzmotu.

Towarzystwo rozbiło się na grupy. Obie starsze panie i pan Stanek obsiedli fotele wokół okrągłego stołu pośrodku pokoju i prowadzili przyciszoną rozmowę. Bolesza namawiał Hempla i Kuszara na partię bridża i jak zwykle brakło im czwartego. Wieleń, Sosin i Proca obstarpi Jolantę. Brona ulokował się w fotelu przy stojącej w rogu pokoju lampie, z gazetami na kolanach.

Pan Anzelm podszedł do grupy rozmawiającej młodzieży. Mówił Wieleń:

– ...pogoda była właśnie taka jak teraz. Był późny jesienny wieczór. Lało okropnie i wiatr gwizdał za oknami, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi wejściowych. Mimo woli zauważyłem, że było jakieś dziwne, odmierzane, powtarzające się w równych odstępach czasu. Domek, który wam opisałem, znajdował się na peryferiach miasta, dość daleko od

drogi. Usłyszawszy pukanie wyszedłem do sieni, zapaliłem światło i nie pytając, kto puka, odsunąłem rygiel i otworzyłem drzwi. Wiatr wpadł do sieni wraz ze strugami deszczu.

Na progu zobaczyłem mężczyznę dość młodego o ciemnych, błyszczących oczach. Zwrócił moją uwagę przede wszystkim jego ubiór. Na głowie miał szary cylinder z podwiniętymi bokami, ubrany był w coś w rodzaju surduta, również w szarym kolorze, a pod brodą, pomiędzy brzegami wysokiego sztywnego kołnierza, widać było białą jedwabną chustę. Lakierowane buty z cholewami odwiniętymi na zewnątrz sięgały do pół łydek.

Kiedy zdziwiony tym widokiem milczałem, przytrzymując ręką otwartą połowę drzwi, nieznajomy bez słowa uniósł dłoń w białej rękawiczce do cylindra i mijając mnie wszedł do sieni.

Pamiętam, że zamknąłem za nim drzwi, zasuwając dokładnie rygiel, a kiedy obróciłem się ku przybyszowi, który, jak sądziłem, zatrzymał się tuż za mną – nikogo w przedpokoju nie było.

Lampa u sufitu paliła się jasnym światłem, meble tkwiły na swoich miejscach – poza tym przedpokój był pusty...

Wtedy zaznałem uczucia strachu. Zrobiło mi się zimno u góry czaszki, jednocześnie czułem wyraźnie, jak jeżą mi się na głowie włosy. W następnej chwili pomyślałem sobie, że uległem jakiemuś przywidzeniu czy też grze wyobraźni, że przeżyłem jakiś błyskawiczny sen na jawie. Kiedy jednak moje spojrzenie padło na podłogę, zobaczyłem kałużę wody, jaka się tworzy, gdy ścieka ona z ubrania, i odchodzące z tej kałuży ślady mokrych stóp, które urywały się nagle...

Pan Anzelm słuchał tego opowiadania z na wpół rozchyłonymi ustami, czując, jak i jemu unoszą się na głowie nieliczne włosy.

– Co to właściwie było? – spytała Jolanta.

– Nie wiem do dziś. Opowiedziałem o tym zdarzeniu ludziom z sąsiedztwa; dziwili się, że wynajmując ten dom nie wiedziałem, że tam „straszy”.

– A czy miały miejsce jeszcze jakieś inne zjawiska? – wtrącił się do rozmowy pan Anzelm.

– Wkrótce musiałem dom ten opuścić. Jednak przez te kilka miesięcy, które w nim jeszcze spędziłem, nic mnie już nie niepokoiło.

– Nadzwyczajna historia! – wykrzyknął z przejęciem pan Szarotka.

– I ja również przeżyłem ciekawą przygodę, mogę ją wam opowiedzieć – odezwał się Kuszar, który przyłączył się do grona słuchaczy. – Radziłbym jednak, żebyśmy sobie usiedli.

Towarzystwo ulokowało się w zacisznym, mrocznym kącie pokoju. Panu Anzelmowi uprzejmie zrobiono miejsce, z czego skwapliwie skorzystał, mocno podekscytowany.

– Zdarzenie to miało miejsce w czasie okupacji – rozpoczął Kuszar. – Koleje losu skazały mnie na pobyt w pewnym małym prowincjonalnym miasteczku. Pobyt ten trwał zresztą krótko, bo zaledwie kilka miesięcy. W niedługim czasie zawarłem tam parę znajomości i jakoś starałem się skrócić sobie wlokący się czas. Nie był to jednak okres przyjemny, gdyż zapewne znacie beznadziejną nudę takich małych miasteczek. Stali mieszkańcy, z racji przyzwyczajenia i odpowiedniego ułożenia sobie życia, może tej nudy nie odczuwali, ale dla przybysza z dużego miasta taki pobyt z konieczności jest okropny. No, ale to tylko mała dygresja, chociaż w pewnym stopniu nastrój, w jakim się wtedy znajdowałem, spowodował przygodę, o której chcę opowiedzieć. Otóż dowiedziałem się, że w pewnym starym domu, położonym przy cichej bocznej uliczce, „straszy” – jak to powiedział przed chwilą Czesio. Domek był jednopiętrowy, miał wszystkiego cztery mieszkania. Konkretnie chodziło o mieszkanie na piętrze, nie zamieszkane od czasu, kiedy zaszedł tam tragiczny wypadek. Mianowicie, swego rodzaju sława, jaką cieszył się obiekt, spowodowała, że byli amatorzy, którzy chcieli spędzić tam noc. Opowiadano o młodym podporuczniku z przedwojennego garnizonu miasteczka. Podporucznik ten, po zrobieniu zakładu z kolegami,

postanowił spędzić tam samotnie noc. Z rana znaleziono go martwego, mimo że był uzbrojony...

– Coś niesłychanego! – wykrzyknął pan Anzelm, nie mogąc opanować wzruszenia.

Jolanta nieznacznie mrugnęła na Wielenia, który odpowiedział jej porozumiewawczym uśmiechem.

W tej chwili wyjątkowo jasna błyskawica rozjaśniła okna, a wkrótce potem zadudnił grzmot. Gdy ucichł, jak zwykle zdawało się, że deszcz ze zdwojoną siłą rozszumiał się za oknami. Widać było w świetle lamp, jak po szybach ściekają strumienie wody.

– Nie wybrałem się jednak na tę wyprawę sam – ciągnął Kuszar. – Umówiłem się z trzema towarzyszami, że spędzimy razem tę noc. Była to z mojej strony, co przyznaję ze skruchą, pewna asekuracja „na wszelki wypadek”. Wypadek taki istotnie zaistniał i wydaje mi się jeszcze dzisiaj, że moja przezorność była uzasadniona.

Z relacji ludzi, którzy znali to mieszkanie, wynikało, że „nawiedzany” był tylko jeden z pokoi, gabinet ostatniego mieszkańca. Postanowiłem w tym pokoju zostać sam, a w przyległym ulokować kolegów.

Otrzymaliśmy zezwolenie i klucz od właściciela domu, wzięliśmy zapas świec, gdyż elektryczności miasteczko nie miało, i przed godziną policyjną udaliśmy się na miejsce.

Byliśmy wszyscy bardzo młodzi, żądni romantycznych i niezwykłych przeżyć, toteż idąc na miejsce martwiliśmy się jedynie, czy aby wersja o strachach jest prawdziwa; brak niesamowitych zjawisk sprawiłby nam przykre rozczarowanie – Kuszar uśmiechnął się trochę ironicznie.

– Wkrótce byliśmy na miejscu. Drzwi od ulicy były jeszcze otwarte, a w paru oknach parteru świeciło światło. Po starych schodach dostaliśmy się na piętro. Zapaliliśmy świece, drzwi ustąpiły, i oto znaleźliśmy się na miejscu.

Przedpokój był zakurzony i pusty. Drzwi na wprost prowadziły do stołowego, dalej była kuchnia, jak przekonaliśmy się, również pusta i zaśmiecona. Drzwi na prawo z przedpokoju prowadziły do „tego” pokoju; miał on również przejście do stołowego. W lewej części mieszkania znajdowały się pokoje sypialne. Zlustrowaliśmy je pobieżnie. Tak w stołowym, jak i w gabinecie było kilka sztuk starych mebli. W stołowym stał odrapany stół i parę kulawych krzeseł, w gabinecie – otomana z częściowo porwanym obiciem, kwadratowy stół, jakaś szafa bez jednej połowy drzwi i jeszcze parę gratów.

Festony pajęczyny zwisały z sufitu i zasnuwały szyby. Nasze świece żółtymi, chwiejnymi płomykami tworzyły na ścianach ruchliwe cienie. Po kątach snuł się mrok, zionął zza mebli, krył się pod nimi lub znikał, w miarę jak przesuwalismy się ze światłem.

Paru szmatami starliśmy kurz z otomany, krzeseł i stołu, ustalając ostatecznie sposób spędzenia nocy. Ponieważ było krótko po dziewiątej, mieliśmy do jedenastej grać w karty. O jedenastej ja miałem udać się ze świecą do gabinetu, a moi koledzy kontynuować grę w jadalni i czuwać, by ewentualnie przyjść mi z pomocą, jeśli bym zawołał. Drzwi pomiędzy obu pokojami miały być zamknięte, tak samo jak drzwi z gabinetu do przedpokoju.

O jedenastej udałem się na swój posterunek.

W tym miejscu pan Anzelm, który od pewnego czasu coraz to częściej kręcił się na krześle, wykrzyknął:

– Podziwiam pana! Ja... ja bym chyba... No, doprawdy, sam nie wiem!...

Słuchacze zamienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia, a Jolanta szturchnęła Wielenia w bok.

– Byłem podniecony, ale strachu nie czułem. Może dlatego, że niezbyt wierzyłem w bujdy, które słyszałem.

– No i co dalej?! Co dalej?! – przynaglił pan Anzelm wyciągając ku opowiadającemu chudą szyję, tak że wystająca grdyka znalazła się nad węzłem krawata, który figlarnie osunął się ukazując guzik kołnierzyka.

– Rozpocząłem czuwanie – ciągnął Kuszar. – Ulokowałem się z książką na otomanie, świecę postawiłem obok siebie na krześle, a przy niej umieściłem zapaliki.

Panowała kompletna cisza. Zza szczelnie zamkniętych drzwi nie dochodziły mnie głosy kolegów. Jedynie od czasu do czasu dolatywało dalekie i przytłumione ujadanie psów. Tym głębsza i kompletniejsza wydawała się cisza wnętrza pokoju.

Świeca rzucała krąg żółtego światła tylko na bliską odległość. Poza jego zasięgiem widziałem jedynie zamazane kontury nielicznych mebli i srebrzące się nici pajęczyn. Zacząłem czytać, lecz po chwili odłożyłem książkę.

Tak upłynęła godzina, potem druga. Zaczęła mnie ogarniać senność, a jednocześnie coraz bardziej – przyznaję to szczerze – zacząłem ulegać niesamowitemu nastrojowi tego miejsca... Zdawało mi się, że ktoś jeszcze jest ze mną. Czułem jakąś obcą, złą siłę. Ktoś czy coś czaiło się w mroku. Z tego mroku szła ku mnie tajemnicza groza – uczucie nieznanego a bliskiego niebezpieczeństwa zaczęło się we mnie coraz bardziej potęgować. Musiałem użyć całego wysiłku woli, by nie zerwać się i po prostu nie uciec z pokoju.

Jednocześnie wrodzony krytycyzm mówił mi, że po prostu ulegam nastrojom wywołanym przez własną wyobraźnię i rozigrane nerwy.

Nagle ujrzałem, że gęste cienie na ścianach drgnęły.

Spojrzałem na świecę. Górna część jej płomienia pochyliła się na bok, a sam płomień chybotał nieznacznie. Wyglądało to tak, jak gdyby ktoś niewidzialny lekko dmuchał na jego górną część. Nie słychać było jednak nic i nie czułem najmniejszego poddmuchu.

Zdziwiony, obserwowałem niezrozumiałe zjawisko. Po chwili wyciągnąłem rękę i zasłoniłem dłonią płomień. Na rękę nie poczułem poddmuchu, a płomień wyprostował się. Jednak zaraz zaczął giąć się w innym kierunku. Zasłaniałem go ręką to z tej, to z innej strony, lecz zjawisko powtarzało się niezmiennie. Wobec tego poniechałem ochrony płomienia i pełen wewnętrznego napięcia oczekiwałem, co będzie dalej.

Po pewnym czasie zauważyłem, że poddmuch jak gdyby nasilał się; płomień giął się coraz bardziej i bardziej – aż raptownie zgasł.

W tym momencie strach ścisnął mi gardło. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu. Chwyciłem zapaliki i trzęsącą się ręką zapaliłem powtórnie świecę.

Palila się równo i spokojnie.

W ten sposób upłynęło z dziesięć minut. Opanowałem się trochę i już miałem zamiar sięgnąć po książkę, kiedy zjawisko zaczęło się powtarzać.

Nie osłaniałem już płomienia, natomiast wziąłem do ręki zapaliki i wyjąłem jedną z nich, by być gotowym do ponownego zapalenia świecy.

Jakoż zgasła wkrótce, a ja natychmiast zapaliłem zapalikę. I znów świeca palila się spokojnie, ale czas do następnego zgaśnięcia był już znacznie krótszy. Odezwała się we mnie ponura zawziętość i postanowienie przeciwstawienia się nieznanemu i – czułem to – wrogiej sile.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI